

Nancy Etchemendy Obiad w " Chez Etienne"

Marion Cumberly porządkowała swoje okrycia zimowe. Nuda, ale musi być zrobione. Czerwiec, nie czerwiec, para leciała jej z ust. Delikatna warstewka lodu uformowała się na wszystkich kałużach, w domu i na zewnątrz, spadł nawet rodzaj śniegu, szarawy i nie bardzo mokry. Ostatnio pogoda nie szła w parze z kalendarzem. Westchnęła. Gdyby działał telefon, zadzwoniłaby do przewodniczącego Amerykańskiego Związku Meteorologów, starego szkolnego kumpla męża, żeby poskarżyć się bezpośrednio. Chciałaby, żeby pani Halprin, gospodyni, przyszła znowu do pracy, wtedy mogłaby powiedzieć jej o telefonie, a ona na pewno wiedziałaby kogo wezwać, żeby, go zreperować. Pani Halprin była istną czarodziejką, jeżeli chodziło o radzenie sobie z załatwianiem wszystkiego. Ale wydawało się, że pani Halprin zniknęła.

Marion poklepywała w zdenerwowaniu płaszcz. Wylatywały z nich tumany białego pyłu. Drzwi szafy były wyrwane, więc ubrania, jak i wszystko inne pokrył kurz. Zastanawiała się, co powinna włożyć na spotkanie z Ireną Rutledge. Miała dwa futra - z norek i z rosyjskich soboli. Sobole były bardzo ciepłe. Sięgnęła po nie; zawahała się, jej drobna ręka zawisała nad jedwabistym włosem. Uznała, że jednak nie będą one odpowiednie. "Chez Etienne" było miejscem eleganckim, ale skromnym. Byłaby w nich zbyt wystrojona i wszyscy gapiliby się na nią. Wystarczyło, że musiała zabrać ze sobą Nicka. W takim miejscu jak "Chez Etienne" kobieta w towarzystwie dwulatka i tak będzie zwracała na siebie uwagę. Nawet nie mając na sobie soboli.

W tej samej chwili zawstydziała się, że mogła coś takiego pomyśleć. Ostatecznie to nie była wina Nicka, że jego opiekunka się nie zjawiała. Marion na samą myśl o dużych, błękitnych oczach i jasnych, prawie białych kręconych włosach swojego małego synka uśmiechnęła się. Wszyscy mówili, że to najmądrzejsze i najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widzieli. Opiekunka, starsza kobieta, wprost go uwielbiała - przynosiła mu drobne prezenciki albo cukierki za każdym razem, kiedy przychodziła. To znaczy trzy razy w tygodniu. W poniedziałki, środy i piątki. W środę przychodziła godzinę wcześniej niż w pozostałe dni, żeby Marion mogła wyjść na swój cotygodniowy obiad z Ireną. Ale tym razem zbliżało się już południe i prawie na pewno była środa, a opiekunka nie zjawiała się. Marion i tak była już spóźniona. W dodatku opuściła obiad "Chez Etienne" w poprzednim tygodniu - nie mogła sobie przypomnieć dlaczego - i nie do pomyslenia było nie pójść kolejny raz. Nie pozostawało nic innego jak wziąć Nicka ze sobą.

Po raz ostatni spojrzała po kolei na swoje okrycia i skinieniem głowy potwierdziła wybór. Na szczęście zawsze jest ten granatowy welwet, dobry na każdą okazję.. Ostrożnie zdjęła płaszcz z wieszaka i uderzyła trzy razy wytrzępując kurz, a potem włożyła na jedwabną bluzkę trzy swetry, które już miała na sobie.

- Czas, żeby iść, Nicki - zawołała starannie wybierając drogę do dzieciennego pokoju.

Musiała uważać. W suficie było parę dziur, także dwie w podłodze. Dywan zaścielały odłamki szkła. Wszystkie szyby były potłuczone. Spotkawszy przypadkiem dwa dni temu chłopca, który pomagał u nich w domu, poprosiła go, żeby je

wstawił. Ale on tylko wyszczerzył zęby i wymamrotał bez tchu coś w rodzaju:

- Do diabła z twoimi oknami, ty zdiro!

Nigdy nie lubiła ludzi, którzy przeklinali.

Nick siedział w kojcu, dokładnie tam, gdzie go zostawiła. W swoich krótkich spodenkach i blezerze wyglądał jak mały mężczyzna.

- Gotów do wyjścia, mój cukiereczku?

Patrzył na nią.

- Nie chcesz pójść z mamusią, Nicki słoneczko?

Pozostał uparcie nieruchomy w rogu swojego kojca. To nie było do niego podobne. Zazwyczaj cały się rozplomieniał i gulgotał ze śmiechu na samą myśl o wyjściu. Może nie czuł się dobrze. Marion westchnęła. Ona też miała trochę kłopotów żołądkowych i była zmęczona. Nic wielkiego, jednak nawet drobna dolegliwość potrafi spowodować kaprysy, szczególnie u dziecka.

Z drugiej strony, to może być coś znacznie prostszego. Nick tęsknił pewnie za swoim tatą. Gerald, analityk finansista pracujący w śródmieściu oddalonym o trzydzieści mil, wiele podróżował. To należało do jego obowiązków. Od pewnego czasu nie było go w domu. Marion nie pamiętała, żeby wspominał o czymś takim, ale przypuszczała, że wyjechał w delegację.

- Nie przejmuj się tym, Nicki kochanie. Tatuś niedługo wróci. Poczula jakiś nieprzyjemny zapach, więc dyskretnie rozpięła spodenki chłopca, sprawdzając pieluszkę. Czysta i

sucha, to nie mogło być to. Ten nieprzyjemny fetor zwrócił już jej uwagę kilka razy wcześniej i nawet chciała zadzwonić po lekarza, żeby przyszedł i obejrzał dziecko. Ale to oczywiście nie było możliwe, dopóki nie zreperują telefonów. Marion zeszła niepewnie po schodach niosąc Nicka na biodrze i starając się nie opierać zbyt mocno o poręcz, która groziła zawaleniem. Zastanawiała się, czy nie postawić chłopca na ziemi i pozwolić mu na samodzielną wędrówkę w dół, ale był jeszcze za mały. A poza tym, w takim nastroju jak teraz, zapewne po prostu usiadłby i skrzyżował swoje małe ramionka, odmawiając ruszenia się.

Doszła do wyjścia i położyła rękę na klamce drzwi frontowych, ale w tej chwili uświadomiła sobie pomyłkę i roześmiała z własnej głupoty. Drzwi zablokował duży kawał odłupanej ściany i sama nie umiała sobie z tym poradzić. Na szczęście dom był stary i cudowny, zbudowany na długo przedtem, zanim szkoła Bauhauusa zmieniła architekturę w szereg bezkształtnych ścian i sterylnych linii. Taka szkoda - szepnęła.

Ale dom Marion i Geralda był inny i posiadał wszystkie cudowne ułatwienia, wynalezione przez przeszłe wieki, w tym wiele drzwi, które mogły być użyte zamiast frontowych. Przeszła ostrożnie nad leżącym żyrandolem i kilkoma podmarzającymi kałużami, utworzonymi przez wodę kapiącą z sufitu. Instalacje wodne, tak jak i telefony wydawały się być mocno zaniedbane.

Ruszyła w stronę kuchni myśląc z zadowoleniem że przynajmniej jeżeli chodzi o wodę do picia, nie musi polegać na popsutych rurach. Ona a Gerald zawsze mieli pokaźny zapas wody mineralnej.

Idąc w stronę drzwi kuchennych, zatrzymała się przed spiżarnią i przyciskając palec do policzka rozważała kolejną komplikację, która się jej nasunęła. Obie z Ireną tak bardzo lubiły "Chez Etienne", bo podawano tam świetne jedzenie, a obsługa była bez zarzutu. Ale ponieważ ostatnio panowało takie zamieszanie, nawet zasoby "Chez Etienne" mogły ulec wyczerpaniu.

Marion posadziła Nicka na suszarce i zaczęła przetrząsać szafy kuchenne. Po jakimś czasie udało jej się znaleźć zapalki i zapalić świecę. Weszła z nią do ciemnej spiżarni. Zawahała się przez moment, po czym wzięła z półki puszkę sosu vichy i słoik karczochów. Włożyła je do kieszeni płaszcza, mrucząc da siebie; Geraldowi to by się nie podobało. Powiedziałaby, że jest za miękka dla ludzi, których praca polega na obsłudze innych. Wiedziała; że to prawda, ale nic nie mogła poradzić na to, że po tylu latach cudownych środowych obiadów czuła sympatię do Etienne.

- No to idziemy, Nicki - powiedziała otwierając drzwi kuchenne.

Znowu padał szary śnieg, a na zewnątrz było chyba jeszcze zimniej niż wewnątrz. Poryw ostrego wiatru uderzył ją w twarz.

- Och, biedny, kochany, Nicki - zawołała przypominając sobie nagle, że nie mogła znaleźć jego płaszczyka i nogi chłopca są całkiem gołe.

Rozpięła swój własny płaszcz i okryła go najlepiej, jak mogła, żałując gorzko, że była tak próżna i nie wzięła jednak rosyjskich soboli zamiast welwetowego płaszcza.

Zerknęła na słońce, które było tylko jasnym zielonym punkcikiem na ciężkim, szarym niebie. Ze wszystkich sił starała się stłumić całkiem mimowolne wzdrygnięcie.

"Bywają chwile - mawiała jej matka - kiedy dobrze wychowana osoba musi wznieść się ponad okoliczności, zachować dobry humor i stanąć na wysokości zadania".

Najzgrabniej jak mogła weszła na porozbijany chodnik i ruszyła w stronę "Chez Etienne" stąpając dużymi krokami nad zamarzniętymi kałużami i obchodząc szerokim łukiem stosy gruzu.

Pomachała ręką przechodząc koło domu Sutherlandów. Frontowej ściany nie było, widziała więc panią Sutherland siedzącą na sofie i kołyszącą się w tył i w przód z wielkim tobołem w ramionach. Tobół był szaro - brązowy, pokryty łachmanami. Marion nie miała pojęcia, co to mogło być.

- Halo, pani Sutherland - zawołała. - Jak się ma mały Alek?

Pani Sutherland przestała kołysać się i podniosła wzrok, ale nie odezwała się ani słowem. Jej twarz była nieruchoma, jak wyrzeźbiona. Nie wyglądała za dobrze.

- Zapytałam, co porabia mały Alek - powtórzyła Marion.

Pani Sutherland znowu zaczęła się bujać, zupełnie tak, jakby Marion tam wcale nie było.

Marion zmarszczyła brwi i ruszyła dalej, myśląc że pani Sutherland, która wydawała się jej zawsze na poziomie, musi mieć duże braki w edukacji. Najwyraźniej nikt nie nauczył jej, jak zachowywać się w podobnej sytuacji.

Idąc minęła kilka osób, do których uśmiechnęła się i które, pozdrawiała skinieniem głowy, ale nikt nie odpowiedział jej uśmiechem. Prawdę mówiąc jeden facet, zakutany w brudny, wełniany płaszcz, z klapami tak ściągniętymi, jakby jego życie zależało od tego, zaczął szlochać i uciekł od niej. Zanim dotarła do "Chez Etienne" poczuła się nieco zbита z tropu.

Drzwi restauracji zrobione z ciężkiego, dębowego drewna wisiały na zniszczonych, mosiężnych okuciach. Marion musiała posadzić Nicka na rozbitej ławce przystanku autobusowego, a sama kolejno usuwała z drogi walące się gruzy, a potem szarpała drzwiami, żeby je otworzyć.

Podniosła Nicka i weszła do środka. Prawie nic nie było widać, ponieważ pomieszczenie miało tylko jedno okno. Dla otrzymania przytulnej atmosfery, jak jej kiedyś wyjaśnił Etienne. Marion przypomniała sobie, że ma w kieszeni zapalki i zapaliła kilka świec, które jak zawsze stały na kryształowych podstawkach na stołach.

Kiedy płomienie oświetliły ciepłym blaskiem pomieszczenie, skierowała się w stronę spokojnego stolika, gdzie zazwyczaj siadały z Ireną. Z sufitu odleciało trochę tynku, więc krzesła były bardzo zakurzone. Podczas gdy wycierała je chusteczką, zauważyła Irenę siedzącą w rogu, twarzą do ściany.

- Ireno, jak cudownie, że jesteś! Bałam się, że nie uda ci się przyjść, kiedy wszystko jest w takim stanie.

Irena miała zdziwiony wyraz twarzy. Kapelusz w stylu Greta Garbo sterczał przekrzywiony na jej głowie pod dziwnym kątem, a ramiona żakietu okrywał pył.

Marion posadziła Nicka na krzesło i przysunęła go do stołu, po czym ruszyła do Ireny.

- Tutaj. Pozwól, że ci pomogę się podnieść. Naprawdę, tak się cieszę - powiedziała i chwyciła Irenę pod ramiona.

Posadzenie jej na krzesło nie było najłatwiejsze, ale ja, kość dała sobie radę. Stała, żeby złapać oddech i w tym momencie znowu poczuła ten sam nieprzyjemny zapach. Pociągnęła nosem zastanawiając się, czy to nie Nicki. Ale tym razem odór dochodził wyraźnie od Ireny. Wzruszyła ramionami. Ostatecznie to nie było takie ważne, a w każdym razie nie należało o tym wspominać publicznie.

Nigdzie nie było widać Etienne, ani żadnego z kelnerów, sięgnęła więc do kieszeni po sos vichy i karczochy.

- Przyszłam przygotowana - powiedziała śmiejąc się wesoło. - Czy to nie jest okropne, ten cały nieporządek wokół?

Irena nie odpowiedziała. Widocznie nie była w nastroju do rozmowy.

- Naprawdę tak się martwiłam, że będziesz na mnie zła za ostatnią środę. Ale z telefonami stało się coś dziwnego. Nie mogłam zadzwonić. Liczyłam tylko na twoją wyrozumiałość. Nie masz nic przeciwko temu, że przyprowadziłam Nicka, prawda? On jest taki grzeczny. Obawiam się, że jego opiekunka już dzisiaj nie przyjdzie. Nie gniewasz się, prawda?

Irena nadal nie odzywała się. Marion poczuła nagle, że brak jej tchu i zalewa ją fala gorąca, jakby za chwilę miała się rozpląkać. Jakie to dziwne. Nie było przecież żadnego powodu do płaczu. Spojrzała na skaczące - po ścianach cienie rzucane przez świece i zamknęła oczy, żeby opanować ogarniające ją uczucie paniki.

- Tak, tak - powiedziała. - Nie jest tu zbyt jasno, jak myślisz? - rzuciła się do innych stolików zbierając wszystkie świece, jakie mogła znaleźć. Stawiała je przed Ireną i zapalała jedną po drugiej. Irena nadal milczała.

W tym momencie Marion zobaczyła tę scenę w lustrze. Na całej północnej ścianie "Chez Etienne" biegł pas luster, przez co pomieszczenie wydawało się większe - tak kiedyś powiedział im Etienne, zabawiając je rozmową w czasie, kiedy kelner posypywał sałatę pieprzem. Teraz mimo chaosu i destrukcji, lustra pozostały prawie nietknięte. Marion zobaczyła najpierw odbity w nich rój płomieni na środku stołu. Nie poznała kobiety stojącej obok nich, brudnej jędzy, która przyglądała się jasnymi, pytającymi oczami, lekko się uśmiechając. To jakaś żebraczka, pomyślała. Musiała tu przyjść z miasta tunelem kolejki. - Dalej obok siedziały dwie postacie, które jak Marion powoli dostrzegała, były w zasadzie zwłokami w różnym stadium rozkładu. Mały chłopiec i kobieta, kiedyś niewątpliwie elegancka.

Marion poczuła falę życzliwości i współczucia dla żebraczki.

- Moja droga - rzuciła się do przodu.

- Moja droga - powiedziała kobieta w lustrze i ruszyła do przodu w tym samym momencie.

Marion zamrugała oczami i wzdrygnęła się. Cichy skowyt dobył się jej z gardła. Nie chcąc tego, wcale tego nie chcąc Marion zaczęła przypominać sobie w najdrobniejszych szczegółach dlaczego nie przyszła w poprzednim tygodniu na obiad "Chez Etienne".

- Nie - krzyknęła wpatrując się w lustro. - Nie, nie, nie!
Marion Cumberlandy, która nigdy w życiu nie zrobiła czegoś podobnego, podniosła krzesło i rzuciła nim w lustro. Szklana skorupa rozprysła się, a jej miejsce zajęła ciemna, błogosławiona ściana. Marion uśmiechnęła się.

- Zjemy trochę sosu vichy, Irenko kochanie: - zapytała. - Nie jestem pewna, czy Nickowi będzie to smakowało. Nigdy wcześniej tego nie próbował.

Dumnym gestem wyciągnęła z kieszeni otwieracz.

przekład : Dorota Malinowska